

Karol May

Uratowana miłość



Leśna
Różyczka

Tom
2

Część I
Córka Grandy





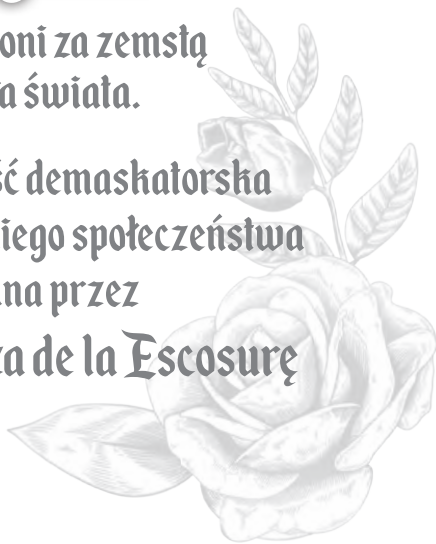
Doktor Carlos Sternau jako „Matava-se” czyli „Księżę Skal”

KAROL MAY

Łeśna Różyczka

czyli w pogoni za zemstą
dookoła świata.

Wielka powieść demaskatorska
o tajnikach ludzkiego społeczeństwa
napisana przez
Ramona Diaza de la Escosurę



URATOWANA
MIŁOŚĆ

Karol May

Uratowana miłość

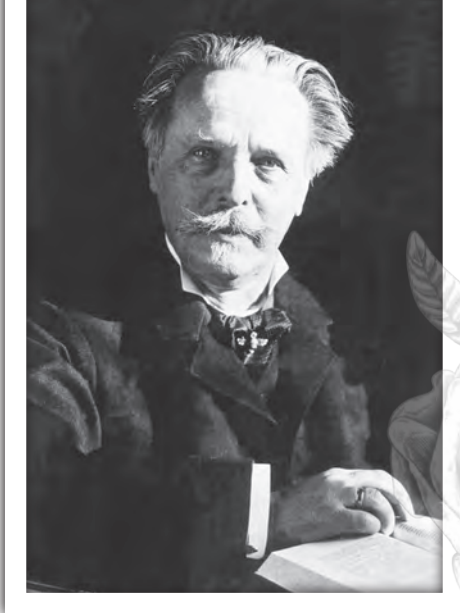


Przełożyła Iwona Kapela

Leśna
Różyczka

Tom
2

Część I
Córka Granda



Sto dziewiętnasta
publikacja elektroniczna
wydawnictwa JAMAKASZ

Drugi tom kolekcji
„Leśna Różyczka”

Karol May

Tytuł oryginału niemieckiego: *Das Waldröschen*

© Copyright for the Polish translation by Iwona Kapela, 2022

Artystyczny przekład fragmentów poezji © Copyright for the Polish translation
by Stefan Pastuszewski, 2022

38 ilustracji, w tym 11 kolorowych kart tablicowych anonimowego twórcy zaczerpnięte
z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. Münchmeyer, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.)

3 ilustracje kolorowe w rozdziale „Czarny kapitan”: Dariusz Kocurek

podkolorowanie: Dariusz Kocurek

Redaktor kolekcji: Andrzej Zydorzczak

Redakcja: Elżbieta Rogucka

Przypisy: Iwona Kapela, Elżbieta Rogucka, Andrzej Zydorzczak

Korekta: Marcin Chmielowski

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2023

ISBN 978-83-66980-01-3 (całość kolekcji)

ISBN 978-83-66980-80-8 (tom 2)



Wydawnictwo JAMAKASZ
www.jamakaszk.pl

e-mail: jamakaszk2013@gmail.com
tel.: 32 340 21 42, 531 094 758
Ruda Śląska 2023

ROZDZIAŁ SIÓDMY

URATOWANA MIŁOŚĆ

*Śnieg groby szczelnie okrywa,
Głębokiej drzemki nic nie przerywa,
Wzmarzniętej w kamień nocnej ciszy
Odgłosów życia nie usłyszysz.*

*Gwiazd sennym blaskiem oświetlony
Mur stary, na pół powalony,
A za nim rząd cyprysów stoi,
Wiecznego strzeże tu spokoju.*

*Na tym dywanie z lodu i ze śniegu
Jak zatrzymana w życia swego biegu
Kłęczy, niczego nie widzi dokoła
I leż z swych oczu wycisnąć nie zdoła.*

*Ta lodowatość to jakby skazanie,
Na wieczne z bólu ciężkie umieranie.
Jedynym dla niej wybawieniem może
Być tylko zimne w ziemi grobu łóżce.*

Gdy hrabianka Rosa odwiozła swoją przyjaciółkę do Pons, co prędzej pospieszyła z powrotem do Rodrigandy. Wydawało jej się, że tak długo, jak nie znajduje się pod pewną, stanowczą ochroną Sternaua, może przydarzyć się jej coś złego. Tkwiło w niej jakby przeczucie, że czyha na nią

ogromne nieszczęście. Dlatego poleciała woźnicy, żeby ten nie oszczędzał koni, które w szybkim galopie mknęły drogą.

Kiedy z powrotem znalazła się w zamku, prędko się przebrała i poszła następnie do kasztelaństwa. Zastąpiła małżonków przy rozmowie na ich ulubiony temat, czyli o doktorze Sternau.

– Czy on jest w domu? – zapytała.

– Nie – odpowiedział Alimpo.

– Gdzie zatem się znajduje?

– Wyjechał, łaskawa *contessa*. Moja Elvira też tak powie.

– Dokąd?

– Nie wiemy – odparła kasztelanowa.

– Nie powiedział wam?

– Niestety, nie.

– Wyjechał sam?

– Nie. Pojechał obcym powozem. Mój Alimpo też tak powie.

– Do kogo należał ten powóz?

– Do *corregidora* Manresy.

– Ach! – zawołała przestraszona, jednocześnie podejrzewając nieszczęście. – Elviro, opowiedz, co się stało.

– To było tak – zaczęła kasztelanowa. – Przyjechał powóz, dorozka, z którego wysiadł *corregidor*. Poszedł na górę do *señora* Gasparina, a potem do *señora* Sternaua. Po krótkim czasie odjechał z *señorem* Sternauem.

– Dokąd?

– Drogą w kierunku Manresy. Mój Alimpo powie to samo.

– Dobrze! Alimpo, zaprzęgaj natychmiast do mego powozu dwa wypoczęte konie!

– Chce pani znowu jechać, łaskawa *contessa*?

– Niezwłocznie!

Poszła teraz prosto do pokoju adwokata. Ten siedział przy jakichś pismach. Hrabianka raczej rzadko do niego wstępowała, dlatego zdziwił się, widząc ją teraz u siebie.

– Ach, *doña Rosa*, przysła pani do mnie! Zechce pani być tak dobra i usiąść! – powiedział, podnosząc się i oferując krzesło.

– Nie będę siadać – powiedziała energicznie. – Przychodzę tylko po to, żeby zadać panu jedno pytanie.

– Jakie?

– Widział pan *señora Sternaua*?

– Ostatnio nie.

– Odjechał.

– Nic nie wiem na ten temat.

– Z *corregidorem* Manresy?

– Pierwszy raz o tym słyszę – odpowiedział ze zdziwieniem, potrząsając głową.

– Więc nikt panu nie powiedział o wizycie *corregidora* w *Rodrigandzie*?

– Absolutnie.

– Temu, że był u pana, również pan zaprzecza?

– Owszem.

– Kłamiesz, *señor*! – zawołała gwałtownie. – Doprawdy, pan bezczelnie kłamie, *señor*!

– *Contesso*! – odpowiedział niemal groźnym tonem.

– Ach, na jaki ton pozwala pan sobie wobec mnie! Jadę teraz do *corregidora* i dowiem się wszystkiego. Jeśli stwierdzę, że po raz kolejny uknuto jakąś diabelską sztuczkę, w której znów macza pan palce, położę kres pana machinacjom i tych pozostałych dwojga. *Adios*!

Zaszeleściła suknią wychodząc, podczas gdy on pozostał w zdziwieniu, oszołomiony jej energią. Potem podszedł do okna i zobaczył, że rzeczywiście wsiadła do powozu i odjechała. Natychmiast udał się do swojej sojuszniczki, pobożnej siostry *Clarissy*. Ona również stała przy oknie i obserwowała *Rose*.

– Znowu dokądś się udała – stwierdziła lakonicznie *Clarissa*. – Wiesz może gdzie?

– Tak. Do Manresy, do *corregidora*.
– Ach! Czego tam chce?
– Dowiedzieć się, gdzie jest Sternau.
– Słuchaj, Gasparino, ona również zaczyna stawać się niebezpieczna!

– Zdaję sobie sprawę i podejmę odpowiednie działania. Czy nie wiesz, w jaki sposób można by podać jej kilka kropli?

– Gdybym miała te krople, dałoby się to zrobić.

– Kiedy?

– Przy wieczornej herbacie.

– Co jeśli zechce ją wypić w swoim pokoju?

– Zawsze pije tylko jedną filiżankę herbaty, którą przygotowuje jej kasztelanowa. Pozwól mi się tym zająć!

– Dobrze, dostaniesz krople!

– A moje honorarium? – zapytała wyczekująco.

Machnął ręką i powiedział ze zniecierpliwieniem:

– No tak, twoje dawne życzenie musi zostać spełnione!

– Żeby znalazła się w moim klasztorze?

– Tak i do tego z połową swojego majątku.

– Tylko z połową?! Co stanie się z resztą?

– Ja ją otrzymam. Alfonzowi nie wolno pomniejszyć tego, co należy się Rosie, więc my oboje podzielimy między siebie jej majątek.

– Zgoda! Daj mi zatem niezwłocznie te krople!

Wrócił do swojego pokoju, napełnił wodą mały flakon i dodał do niej dwie krople trucizny. Wstrząsnął nim, żeby dobrze się wymieszały, zaniósł do Clarissy, której wydał dokładne instrukcje jak ma się z tą trucizną obchodzić.

Tymczasem Rosa dotarła do Manresy. Przybywszy tam, kazała zatrzymać się przed domem *corregidora*. Jego żona wybiegła zaskoczona takimi zaszczytnymi odwiedzinami i zaprowadziła ją do najlepszego pokoju.

– Czy *señor* w domu? – zapytała hrabianka. – Chcę z nim pomówić.

– Niestety, nie ma go na miejscu.

– Jest w podróży?

– Tak.

– W interesach?

– Zapewne, ponieważ towarzyszyło mu czterech uzbrojonych żandarmów.

– Ach! – wyszeptała hrabianka, blednąc. – Co było celem tej eskapady?

– Tego niestety nie wiem. *Señor* w sprawach służbowych jest bardzo milczący.

– I nie wie pani, kto lub co mogłoby go skłonić do wyjazdu?

– Zapewne pani laskawy brat *don* Alfonzo.

– Alfonzo? Był tutaj?

– Tak. Przyjechał konno i bardzo się śpieszył. Mój mąż posłał natychmiast po żandarmów.

– Czy powiedział, kiedy wróci?

– Nie.

– Więc przyjadę ponownie jutro.

Odeszła. Usłyszała dosyć, żeby zorientować się, że dzieje się coś niedobrego i pełnym galopem powróciła do Rodrigandy. Tam kazała poprosić do siebie swojego brata. Ten został już uprzedzony przez notariusza i przybył na rozmowę z ogromnym spokojem.

– Byłeś dzisiaj w Manresie? – zapytała go.

– Tak – odpowiedział obojętnie.

– W jakiej sprawie?

– Mój Boże, w jakiejże sprawie miałbym tam być? W tej dzisiejszej!

– Co rozumiesz przez słowo „dzisiejszej”? – zapytała ostro.

– No, znalezienia zwłok.

– Ach! Naprawdę?

– A niby w jakiej innej? Zdajesz się być bardzo dziwna. Wyglądasz tak, jakby coś cię wzburzyło.

– Istotnie. Dlaczego *corregidor* dla twojej sprawy zawezwał czterech żandarmów?

– Pewnie jeszcze przypuszczał, że trupa umyślnie wrzucono do wąwozu – skłamał z zuchwałą miną – więc żandarmi poszukują sprawców.

Hrabianka udawa, że wierzy jego słowom.

– Ha! Więc tak! *À propos*¹, widziałeś Sternaua?

– Nie.

– Szukam go.

– Ja w żadnym wypadku.

– Tym lepiej. Dobrze, możesz odejść!

Wykonał ironiczny ukłon i powiedział:

– Hrabia Alfonso de Rodriganda nie życzy sobie opuszczać swojej najwspanialszej siostry jak jakiś sługa. Zostanę!

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Jak to? Dlaczego?

– Cóż, żeby zabawiać moją siostrę!

– Najlepiej bawię się bez ciebie!

– Mimo to zostanę!

– Zuchwalcze!

– Ba! Nie rozumiem, co masz przeciwko mnie. Nie wiem, czy to tylko wrażenie czy rzeczywista niechęć, niemniej tęsknię za spokojnymi czułościami, które przyjęte są między rodzeństwem. Na początek zacznę od pocałunku, by wypełnić tę przepaść pomiędzy nami.

Zbliżył się do niej, aby wcielić swoje słowa w czyn, ale odepchnęła go od siebie ze wstrętem.

– Nie zbliżaj się zbyt blisko! – nakazała mu. – Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego!

¹ *À propos* – wyrażenie wprowadzające temat wypowiedzi.

– Nic? – zapytał, obrzucając poządlwym wzrokiem jej wspa-
niałą figurę. – A jednak! Roso, jesteś piękna, bardzo piękna, a co
będzie wolno kiedyś kosztować twojemu mężowi, to wcześniej
może mieć brat.

Chciał objąć ją ramieniem, ale ona zamachnęła się i wymie-
rzyła mu siarczysty policzek.

– Precz ode mnie! – zawołała. – Nienawidzę cię, brzydzę się
tobą! Gdybym jeszcze tego nie wiedziała, twoje obecne zacho-
wanie powiedziałoby mi to aż nadto wyraźnie.

– Co wiesz? – zapytał rozzłoszczony, przykładając dłoń do
miejsca, w które otrzymał cios.

– To, że nie jesteś moim bratem, tylko oszustem, nędznym
falszerzem!

– Och, nie jestem twoim bratem? Kim zatem?

– To się okaże, jak tylko wróci Sternau. Jeśli natomiast nie
wróci, przygotuj się na zdemaskowanie, które wprawi w gniew
i wzburzenie cały kraj.

– Więc to tak! – powiedział, sycząc. – Nazywasz mnie oszu-
stem, nędznym falszerzem! Policzek przyjmę, ponieważ jesteś
kobietą, ale za resztę musisz mi słono zapłacić.

Wyszedł z zawziętością złego człowieka, który nie zawaha
się pomścić swojej porażki i wie, jak się do tego zabrać. Tym-
czasem ona posłała po kasztelanową, żeby nie zostać samą, lecz
spędzić trochę czasu w jej towarzystwie.

– Czy widziała pani *señora* Sternaua, moja łaskawa, droga
contesso? – zapytała kasztelanowa natychmiast, gdy tylko przyszła.

– Nie.

– Więc gdzie on jest?!

– Został aresztowany.

Pani Elvira z przerażeniem zamachała rękoma i powiedziała:

– Aresztowany! Mój Boże! Dlaczego?

– Tego się nie dowiedziałam.



*Chciał objąć ją ramieniem, ale ona zamachnęła się
i wymierzyła mu siarczasty policzek.*

– Aresztowany! Och, święta Madonno, taki dzielny, dobry *señor* aresztowany! Z pewnością nic nie zrobił, zupełnie nic, ponieważ jest najlepszym i najodważniejszym człowiekiem, jaki tylko może istnieć. I taki silny i szczerzy, taki dumny i mocny! Powinna była pani go zobaczyć, jak tam, przy Baterii, chwycił hrabiego Alfonza i trzymał nad przepaścią. Wspaniale to wyglądało. Mój Alimpo też to powie!

– Ależ ja zupełnie nic o tym nie wiem!

– Nie?

– Nie. Opowiadał tylko, jak zajął się zwłokami. Tego jednak nie.

– Tak, on nie przechwala się. Nie jest chwalipiętą. Hrabia Alfonzo chciał go uderzyć, ale wtedy zrobił tak, jak ów August Mocny z Saksonii², który trzymał nad sobą trębacza z wieży – chwycił młodego hrabiego i przewiesił nad przepaścią, a potem rzucił go za siebie z taką siłą, że ten przeleciał w powietrzu ładny kawałek i dopiero wtedy upadł na ziemię.

Oczy Rosy zabłysły z dumy.

– Tak, on jest nie do pokonania! – powiedziała. – Widziałam to, gdy został napadnięty w parku. Pokonałby trzy razy więcej ludzi niż ich tam wówczas było.

– Tak, nawet powiedział – dodała Elvira z wahaniem – że Alfonzo powinien udowodnić, iż jest synem hrabiego Emanuela. Tak, takie słowa też padły z jego strony. Mój Alimpo też to słyszał.

– Ach, tak powiedział? To musiał zostać niezwykle obrażony.

– Wszyscy ludzie już od dawna czegoś się domyślali. *Señor* porucznik...

² *August II Mocny* (1670-1733) z dynastii Wettinów, elektor saski (jako Fryderyk August I) od 1694 roku; elekcyjny król Polski w latach 1697-1706 i 1709-1733; w Saksonii przeprowadził wiele reform politycznych i gospodarczych, był to okres jej rozkwitu gospodarczego, natomiast dla Polski – okres upadku; wspomniany epizod nawiązuje do tego, że August Mocny odznaczał się bardzo wysokim wzrostem i wyjątkową siłą fizyczną, znany był także z hulastycznego trybu życia.

- Co z nim? – zapytała Rosa niepewnie.
- Wyglądał na tak bardzo podobnego do łaskawego hrabiego, miał takie same oczy i też zupełnie jego głos. Czy pani też to zauważyła?
- Tak, i mój ojciec również, gdy odzyskał wzrok, wziął go od razu za swojego syna.
- Czy on jest nim? – zapytała Elvira z ciekawością.
- *Señor* Sternau jest o tym przekonany. Wie również, że uprowadzono go na statek.
- Urowadzono! Na statek! – zawołała kasztelanowa, załamując ręce. – Ale dlaczego?
- Po to, aby nie mógł zdemaskować oszustów. O tym jednak będzie jeszcze czas porozmawiać później, moja dobra Elviro. Teraz powinnaś zostać ze mną przez cały wieczór i zatroszczyć się o moją herbatę.



Kilka godzin później, gdy zrobiło się już ciemno, na skraju lasu zatrzymał się samotny jeździec. Zeskoczył z konia i poprowadził zwierzę w gęstwiny, gdzie je uwiązał. Potem udał się w kierunku zamku, wszedł po schodach i poprosił służbę, żeby powiadomiła o jego przybyciu *señora* Gasparina Corteja.

- Kim pan jest? – zapytał służący.
- Przyjacielem *señora*, który chce go zaskoczyć – padła nieco opryskliwa odpowiedź.

Sługa zaanonsował gościa, po czym ten wszedł do pokoju. Cortejo znajdował się w środku sam. Przyjrzał się nieznanemu, a ponieważ go nie poznawał, zapytał:

- Kazał się pan przedstawić jako mój przyjaciel?
- Tak...
- Nie znam pana!
- Nie? Więc muszę pomóc.

Zerwał fałszywą brodę z twarzy oraz perukę z głowy i natychmiast został rozpoznany.

– Kapitan! – zawołał Cortejo.

– Tak, kapitan, który chce panu zadać pytanie.

– Mów!

– Gdzie jest porucznik de Lautreville?

– Nie wiem!

– Wie pan! Może pan oszukiwać innych, ale nie mnie. Porucznik zniknął.

– To mnie nie obchodzi!

– O, bardzo obchodzi, o wiele bardziej! Zastanawiałem się nad naszą ostatnią rozmową. Chciał go pan widzieć martwym. Domyślił się pan, kim on w rzeczywistości jest.

– Nie tylko ja jeden, ale również ten niemiecki lekarz. Dlaczego nie dotrzymałeś swojego słowa?

– Ponieważ najpierw chciałem wiedzieć, czy dotrzyma pan swojego względu na porucznika.

– Dobrze, nie bawmy się w chowanego! Czy przyznajesz, że ów porucznik był właściwym hrabią Alfonzem de Rodriganda?

– Tak.

– Po co go tu przysłałeś?

– To moja sprawa.

– Czy chłopak wie, kim jest?

– Nie.

– Gdzie on się teraz znajduje?

– Nie żyje.

Rabuś cofnął się o krok. Przy tym spadł mu płaszcz, odsłaniając bogaty garnitur broni tkwiącej za jego pasem.

– Nie żyje! – zawołał. – Ach, odpowie mi pan za to!

– Nie boję się ciebie!

– Ujawnię, jaki z pana łotr!

– Też coś! Sam masz się czego bać. Byłeś moim narzędziem.

– Oświadczenie, które pan podpisał, zdeponuję w sądzie. Przyniosłem je ze sobą, żeby wymienić na porucznika. Mów pan, czy on naprawdę nie żyje!

Na twarzy adwokata pojawił się błyskawiczny, radosny uśmiech. Odpowiedział:

– Naprawdę masz ze sobą oświadczenie?

– Tak. Pytam ponownie: czy porucznik faktycznie nie żyje?

– Pokażę ci list, jaki otrzymałem w tej sprawie. Poczekaj chwilę!

Przeszedł do przyległego pokoju, z którego wziął ze sobą naładowany pistolet i list.

– Przychodzi do mnie w samą porę – szeptał szyderczo do siebie. – Teraz dostanę mój podpis z powrotem i zarazem pozbędę się najniebezpieczniejszego świadka. W tej bitwie zwyciężyłem na całej linii!

Wrócił do pokoju z dokumentem w ręku.

– Jednak muszę się przekonać, że rzeczywiście masz ten papier przy sobie – powiedział, obrzucając rabusia badawczym spojrzeniem.

– Jest wetknięty tutaj – odpowiedział ten, klepiąc się w pierś.

– Czytaj zatem! – rzekł Cortejo i podał mu list.

Kapitan rozłożył pismo i przebiegłszy je wzrokiem od razu zauważył, że był to zwykły list w sprawie interesów, który w ogóle nie zawierał wzmianki o poruczniku. Gdy zaskoczony takim oszustwem podniósł wzrok, jego oczy spoczęły na wylocie lufy skierowanego na niego pistoletu.

– Szach i mat! Umieraj, psie! – zawołał notariusz.

Huknął strzał i rabuś runął martwy na ziemię. Kula trafiła dokładnie w jego czoło. Notariusz natychmiast zaryglował drzwi i następnie zerwał zmarłemu marynarkę. Jednak jej kieszenie okazały się puste. Również w pozostałej części garderoby nie znalazł nawet śladu tego, czego szukał.



– Szach i mat! Umieraj, psie! – zawołał notariusz.

– Oszust! – mruknął notariusz. – Nędzny oszust! U niego przynajmniej ten papier był bezpieczny, więc jeśli jego ludzie go teraz znajdą, będę zgubiony!

Na korytarzu rozbrzmiały kroki. Widocznie usłyszano strzał i przybyto pospiesznie zobaczyć, co się wydarzyło. W gorączkowym pośpiechu notariusz przywrócił ubranie rabusia do porządku i wyciągnął zza jego pasa pistolet, który położył na podłodze, po czym otworzył drzwi.

– Tutaj! – zawołał. – Zostałem napadnięty!

Służba wpadła do środka. Przybiegli również hrabia Alfonso, siostra Clarissa i kasztelan.

– Spójrzcie na tego człowieka – powiedział Cortejo. – Kazał się zaanonsować jako mój przyjaciel, a gdy zostaliśmy sami, groził mi śmiercią, jeśli nie dam mu pieniędzy. Zrobiłem tak, jakbym chciał mu je dać, sięgnąłem jednak nie po pieniądze, lecz po pistolet i zastrzeliłem go.

– O Boże, rabuś, prawdziwy rabuś! – zawołała przerażona Clarissa. – Spójrzcie na perukę i fałszywą brodę! Ale Bóg pokonał go swoją mocą i zabrał złoczyńcę z tego świata, by po wsze czasy pokutował za swoje grzechy!

– Przeszukać go, tylko dokładnie! – nakazał Cortejo.

W ten sposób dostałby list w swoje ręce, gdyby nieoczekiwanie został znaleziony. Jednak nie ujawniono niczego oprócz broni i wypchanej sakiewki.

– Zabierzcie go na dół do jednej z piwnic. Jutro złożę za wiadomienie. Ten pokój musi zostać oczywiście natychmiast wysprzątnany.

Postąpiono zgodnie z jego poleceniami. Gdy służba się oddaliła i cała trójka została sama, Alfonso zapytał:

– Znasz go?

– Nie.

– Hm, możliwe, że był to twój „kapitan”, o którym niekiedy wspominałeś. Sądzę, że w tym przypadku miałeś z nim małe *rencontre*³ i się od niego uwolniłeś.

– Nie znam go! Ale jak to jest, czy pijemy dzisiaj herbatę z Rosą?

– Nie – odpowiedziała Clarissa. – Ona wypije ją w swoim pokoju.

– A później?

– Już ją dostała.

Z tonu, jakim te słowa zostały wypowiedziane i szybkiego spojrzenia, jakie im towarzyszyło, notariusz wywnioskował, że krople zostały dodane do herbaty.

Gdy padł strzał, Rosa siedziała zajęta rozmową z kasztelanową, która dopiero co przyniosła herbatę z kuchni i podała ją hrabiance. Wtedy rozbrzmiał nad nimi głośny trzask.

– Co to było! – zawołała Elvira.

– Strzał! – odpowiedziała Rosa. – Co się stało? Pójdę zobaczyć!

– O nie, nie, moja droga *contessa*! Proszę zostać! Codziennie zdarzają się tutaj jakieś nowe i wielkie nieszczęścia. Nie pozwolę panience pójść!

– Ale kto może mi coś zrobić? Padł strzał, jak się zdaje, w pokoju Corteja. Słyszysz kroki i głosy?

– Tak, ale my zostaniemy. Mój Alimpo jest bardzo spokojny; pójdzie tam, żeby zobaczyć, co się dzieje i potem nam o wszystkim opowie.

Te przepowiednie spełniły się, ponieważ kasztelan wkrótce rzeczywiście przyszedł i powiedział, że notariusz został zaatakowany przez rabusia, którego jednak zastrzelił. Ta sprawa stała się obiektem wieczornych rozmów, ale gdy potem Rosa wypiła swoją filiżankę herbaty, oświadczyła, że chce pójść spać,

³ *Rencontre* (fr.) – spotkanie.

ponieważ przez całe dzisiejsze wzburzenie czuje bolące pieczenie w głowie. Położyła się, żeby spokojnie odpocząć.

Następnego ranka pokojówka *contessa* przybiegła do kasztelanowej ogromnie zdenerwowana i błagała z płaczem:

– Moja dobra pani Elviro, proszę szybko pójść ze mną do *contessa*! Coś się z nią dzieje!

– Co się stało?

– Musi być chora.

– Święta Madonno, czyż to prawda? Już wczoraj skarżyła się na ból głowy. Idę!

Zostawiła wszystko i poszła za pokojówką. Gdy weszła do sypialni Rosy, ta klęczała przy łóżku i zdawała się modlić. Była bardzo blada i wyglądała jak posąg.

– Kochana *contessa*, proszę już wstać! – prosiła dziewczyna. Rosa nie poruszyła się.

– Widzi pani – skarżyła się dziewczyna. – Taką ją znalazłam, kiedy przyszłam, żeby ją obudzić. Podniosłam ją i posadziłam na krześle, ale ona ciągle klęka z powrotem. Proszę mi pomóc!

Chwyciły hrabiankę i podciągnęły ją w górę, ale ledwie ta usiadła na otomanie, zsunęła się ponownie na kolana i złożyła ręce, jakby chciała się modlić.

– Tak, ona jest chora, ona jest bardzo chora! – szlochała kasztelanowa. – Gdyby chociaż był tu *señor* Sternau! Wygląda, jakby była bez zmysłów i czucia.

– Co robić? Co robić, *señora* Elvira? – pytała pokojówka, jednocześnie płacząc.

– Och, nie wiem! Mój Boże, nie mogę nic innego zrobić, jak tylko zapytać mojego Alimpa. Przyrowadź go tu!

Dziewczyna wybiegła i sprowadziła kasztelana, który wyglądał na przerażonego. Chora klęczała przed otomaną z na wpół przymkniętymi oczyma i złożonymi rękoma. Kasztelan



*Gdy weszła do sypialni Rosy, ta klęczała przy łóżku i zdawała się modlić.
Była bardzo blada i wyglądała jak posąg.*

ponownie posadził ją prosto, ale ona natychmiast wróciła do modlitewnej postawy. Również w jego oczach pojawiły się łzy i, jak gdyby został zapytany o radę, stwierdził:

– Połóżcie ją do łóżka i zróbcie jej zimny okłady. Może to coś pomoże.

Obie kobiety wykonały, co powiedział, podczas gdy on odszedł ze zmartwioną twarzą. Za drzwiami trafił na pobożną siostrę, która czatowała w pobliżu.

– Byłeś u hrabianki? – zapytała.

– Tak.

– Więc jest już zdrowa?

– Jest chora – odpowiedział.

– Co jej dolega?

– Nie wiem tego.

– Muszę więc ją odwiedzić, żeby zanieść jej słowo Boże, będące najlepszą pociechą dla chorych.

Weszła do pokoju, ale już po minucie wybiegła z niego z impetem i dosłownie poleciała jak na skrzydłach do pokoju notariusza. Gdy ten zobaczył ją wpadającą w tak gwałtowny sposób, zapytał:

– No i co? Udało się? Widzę to po tobie!

– Tak, zwariowała.

– Co robi?

– Modli się.

– Ach, to dziwne! Głośno?

– Nie. Gdy chce się ją postawić na nogi, posadzić albo położyć, to ona nie pozostaje w tej pozycji, lecz zaraz klęka i składa ręce, jakby chciała się modlić. Nie porusza przy tym ani ustami, ani innymi częściami ciała. Pewne jest, że nie pozostały jej nawet resztki rozumu.

– Ach, szaleństwo przyszło do niej podczas modlitwy i dlatego teraz ma w głowie tylko tę jedną myśl, właśnie o modlitwie. Natychmiast podejmę odpowiednie kroki. Chodź ze mną!

Poszedł do pokoju Rosy i oznajmił pokojówce oraz kasztelanowej, że pobożna siostra Clarissa przejmuje opiekę nad chorą hrabianką. Od teraz wszyscy zostali odizolowani od Rosy. Nie widziano jej i nic o niej nie słyszano. Tak jakby prawie nie istniała.



Dzień później drogą z Manresy do Rodrigandy poruszał się mnich. Gdy doszedł do wsi, wszedł do *venty* i kazał podać sobie szklankę wina. Chciał od razu za nią zapłacić, ale gospodarz odmówił przyjęcia pieniędzy.

– Nic nie wezmę – powiedział. – Wypij jeszcze jedną albo dwie, mój pobożny ojcze i w zamian zmów kilka *Ave Maria*⁴ i *Pater noster*⁵ za chorą, oby Bóg zechciał nam ją zachować!

– Kim ona jest?

– To nasza hrabianka Rosa de Rodriganda.

– Jest chora?

– Tak, bardzo.

– Co jej dolega?

– To musi być obłąd.

– Ojcze w niebiesiech, to byłoby okropne!

– Tak, mój świątobliwy ojcze, masz rację. Zdaje się, jakby dom Rodrigandów nawiedziło jakieś straszliwe zło. Najpierw hrabia oślepl. Gdy został wyleczony, oszalał. Potem rzucił się ze skały. Teraz jego córka straciła zmysły z powodu jego śmierci. Wygląda to tak, jakby diabeł mieszkał w samym zamku i wokół Rodrigandy. Jakby jeszcze było mało, dobry doktor Sternau został napadnięty w parku, a teraz nagle zniknął jak kamfora. Dodatkowo zaatakowano samą hrabiankę z jej przyjaciółką. Na

⁴ *Ave Maria* (łac.) – *Zdrowaś Maryjo*, pierwsze słowa modlitwy zwanej inaczej *Pozdrowieniem anielskim* (od pierwszych słów wypowiedzianych do Maryi przez archanioła Gabriela podczas zwiastowania).

⁵ *Pater noster* (łac.) – *Ojcze nasz*, inaczej *Modlitwa Pańska* (*Oratio Dominica*) – najstarsza, a zarazem najważniejsza modlitwa chrześcijańska, którą według Nowego Testamentu przekazał Jezus swoim uczniom.

dokładkę zniknął gość domu, oficer huzarów i w końcu napadnięto notariusza w jego własnym pokoju. Jednak sprawca tej napaści od razu otrzymał swoją zapłatę.

– Jak nazywa się ów notariusz?

– Gasparino Cortejo.

– A kim był sprawca, który odebrał swoją zapłatę?

– Jakiś nieznany rabuś. Nosił fałszywą brodę i perukę. Leży w piwnicy w zamku. Jutro ma być pochowany, ale dziś jest pogrzeb nieszczęśliwie zmarłego hrabiego, na który przyjadą wszyscy szlachetni panowie mieszkający w okolicy, a także najwyżsi dostojnicy z władz.

– Gdzie zostanie złożony?

– W zamkowej kaplicy.

– Więc teraz chyba młody hrabia Alfonso jest waszym nowym panem?

– Tak.

– Czy jest lubiany?

Gospodarz ociągał się trochę z odpowiedzią, potem jednak powiedział:

– Właściwie nie powinienem nic o tym mówić, ale przecież świątobliwy ojciec mnie nie zdradzi. Hrabia Alfonso nie jest tu mile widziany. Wielu go nie lubi, inni nawet nienawidzą. Szczęście opuściło Rodrigandę, a ja nie wierzę, że znowu powróci. Służba już dłużej nie wytrzyma w zamku i rozproszy się; wtedy zostaną zatrudnieni nowi ludzie, którzy charakterem będą pasować hrabiemu i notariuszowi. Widać nadchodzące gorsze czasy.

– Od kogo ze służby można by się najwięcej dowiedzieć, gdyby się chciało mieć jakieś wieści o wydarzeniach ostatnich dni?

– Proszę pójść do *señora* Alimpo, kasztelana. Jest najbardziej godnym zaufania i najuczciwszym człowiekiem ze wszystkich.

– Czy udzieli mi informacji?

– Naturalnie, ponieważ tak świątobliwy człowiek, jak wy, ojczyste, nie ma żadnych złych zamiarów, gdy o coś pyta.

– Więc pójdę do niego. Żegnaj i proszę przyjąć podziękowania za napitek, który od pana otrzymałem!

Mnich opuścił *ventę* i powoli ruszył w dalszą pielgrzymkę do zamku.

Panowało tam ożywione, ale ciche życie. Ludzie szybko przemykali przejściami i korytarzami, żeby przygotować przyjęcie oczekiwanych gości przybywających na pogrzeb, a ze swoimi bezgłośnymi krokami, bladymi twarzami i poważnymi minami upodobnili się bardziej do duchów niż żyjących istot, w których czerwonych żyłach pulsowała ciepła krew. Ojciec dominikanin zapytał o kasztelana i został skierowany do jego mieszkania.

Dobry Alimpo siedział z Elvirą w swoim pokoju i wydawał się być nieskończenie zasmucony.

– Nie wytrzymam tego! – wzdychał.

– Ja też nie! – odpowiadała żona płacząco.

– To koniec. Wszystko tutaj skończone!

– Całkowicie, zupełny koniec wszystkiego!

– Najlepiej weźmy swoje małe oszczędności i wyruszmy z nimi w daleki świat.

– Tylko niezbyt daleko! – zauważyła.

– A właśnie, że daleko, bardzo daleko! – odpowiedział zagniewany. – Do Kafrow⁶ albo do Hotentotów⁷, albo do Lapończyków⁸.

⁶ *Kafrowie* – nazwa ludów Bantu, zamieszkujących pld. i wsch. część Afryki; nadana przez Arabów, rozpowszechniona w zachodniej literaturze i historiografii od czasów wojen kolonialnych prowadzonych przez Burów i Anglików z ludami Zulu-Kosa (XVIII-XIX w.) na ob. terytorium RPA.

⁷ *Hotentoci* (nazwa własna Khoi Khoi) – afrykański lud zamieszkujący południowe i środkowe tereny RPA, posługujący się językiem hotentockim z rodziny języków khoisan; nazwę „Hotentotów” nadali im Holendrzy, którym ich język, pełen charakterystycznych mlasków, kojarzył się z „jąkałami” – Hotentotami.

⁸ *Lapończycy* (Saamowie, nazwa własna Saami) – grupa etniczna mieszkająca w rozproszeniu na obszarze Laponii, krainy w północnej Europie, na Płw. Skandynawskim i Płw. Kolskim; w większości położonej poza północnym kołem podbiegunowym.

Co mamy tu do roboty? Dlaczego nie chcesz odejść stąd jak najdalej się da?

– Czy nie słyszałeś, że łaskawa hrabianka ma być wywieziona jeszcze dziś?

– Słyszałem.

– Zatem nie opuszczę jej. Pojadę z nią chociażby na koniec świata.

– Czy uzyskasz na to zgodę?

– Ech, prawda, chyba tak się nie stanie. Posłuchaj mój drogi Alimpo, to krzyż i nędza.

– Tak, krzyż i nędza! – przytaknął.

Wtedy rozległo się ciche pukanie do drzwi i wszedł mnich.

– Czy pan Alimpo, kasztelan? – zapytał zaraz po tym, jak się uprzejmie przywitał.

– Tak – odpowiedział zapytany, wstając.

Pani Elvira również z wielkim uszanowaniem podniosła się z krzesła i teraz ojciec zobaczył przed sobą oboje okrągłych, dobrodusznych ludzi, ba, równocześnie poznał na pierwszy rzut oka, że są zacni jak mało kto. Usiadł na wskazanym fotelu i zaczął mówić poważnym, współczującym głosem:

– Ogromny smutek wprowadził się do tego domu. Jestem posłańcem Zbawiciela, który powiedział: *Chodźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obarzeni jesteście. Chcę was pokrzepić*⁹. Oferuję wam całym sercem pocieszenie, które daje nasza święta wiara, a może jestem w stanie ulżyć wam w inny jeszcze sposób i przynieść ukojenie waszym wzburzonym sercom.

– Bądź pozdrowiony, świętobliwy ojcze! – rzekł Alimpo. – Tak, jesteśmy bardzo zasmuceni. Jedno po drugim spadły na nas nieszczęścia i nie wydaje się, żeby dobiegały końca!

– Bóg jest potężny w pokonaniu słabości – odpowiedział ojciec – i śle wsparcie bardzo często właśnie wtedy, gdy się tego

⁹ Swobodna parafraza słów Jezusa, wypowiedzianych podczas pobytu w Galilei (por. Mt 11,28).



– Bądź pozdrowiony, świętobliwy ojcze! – rzekł Alimpo.

najmniej spodziewamy. Kto wie, może jestem posłańcem Jego pomocy. Czy zechcecie mi zaufać?

– Chętnie! – powiedziała kasztelanowa. – Mamy okropne strapienie. Nieprawdaż, Alimpo?

– Tak, moja Elviro! – odpowiedział mąż, posepnie kiwając głową.

– I nie mamy nikogo, komu moglibyśmy poskarżyć się na swoją niedolę. Nieprawdaż, Alimpo?

– A jakże, moja Elviro.

– Ale przecież tutaj w zamku macie przyjaciół, którzy czują to samo co wy – powiedział ojciec.

– Tak, mamy – wyjaśnił kasztelan – ale nie chcą już z nami rozmawiać.

– Dlaczego?

– Obawiają się młodego hrabiego i *señora* Corteja.

– Czy oni zabronili im tego, żeby się z wami zadawali?

– Bezpośrednio nie, ale popadłem w niełaskę, a pozostali odwrócili się od nas sami.

– W niełaskę? Dlaczego?

– Ponieważ nie chcieliśmy oddać łaskawej *contessy* w obce ręce. Ja i moja Elvira pragnęliśmy służyć jej w chorobie. Zostaliśmy odprawieni. Ale my kochamy *contessę* i mimo to próbowaliśmy dostać się do niej. Przez to zostałem odwołany ze swojego urzędu. Nie mam tu nic więcej do roboty i do powiedzenia. Powinienem jak najszybciej opuścić zamek. Właśnie dlatego ci, których uważaliśmy za naszych przyjaciół, nie chcą już mieć z nami cokolwiek wspólnego.

– Na pewno przypomną sobie was, gdy miną dni wytężonej pracy. Słyszałem, że dzisiaj ma być pochowany zmarły hrabia?

– Tak mówią, ale ja w to nie wierzę – powiedział Alimpo bardzo przekornym tonem.

– Nie wierzy pan? – zapytał zdziwiony ojciec.

- Tak, nie wierzę.
- Że hrabia zostanie pochowany?
- Tak.
- Ale co oni w takim razie z nim zrobią?
- Ach, to przecież nie jest on!
- Ten zmarły?
- Tak. Zmarły to nie hrabia, tylko jakiś obcy.
- Kto tak powiedział?
- *Señor* Sternau.
- Kim on jest?
- Niemieckim lekarzem, który leczył hrabiego. Stałem u jego boku, gdy twierdził, że ciało należy do kogoś zupełnie innego.
- Ach! Proszę mi o nim opowiedzieć!
- Małżeństwo było zadowolone, że ma kogoś, komu może zaufać bez narażania się, więc opowiedzieli ojcu wszystko, co przyniosły ostatnio minione dni. Słuchał ich uważnie i gdy skończyli, zapytał:
- Wierzycie zatem, że ów porucznik de Lautreville nie odalił się dobrowolnie?
- Wierzymy w to, co powiedzieli *señor* Sternau i *contessa*. Porucznik został porwany i uprowadzony na statek.
- Znałem go.
- Pan? Pan go znał?! – zapytał Alimpo z niedowierzaniem.
- Tak. Wychowałem go. Kocham go jak własnego syna i zrobię wszystko, aby się dowiedzieć, co go spotkało. A Sternau również zniknął?
- Tak, zupełnie nagle.
- I nikt nie wie, gdzie jest?
- Nikt.
- Ale można się czegoś dowiedzieć od sędziego z Manresy!
- Ten nikomu nic nie powie. Więc zna ojciec *señora* de Lautreville! Naprawdę był Francuzem i oficerem?

– Proszę mnie o niego nie pytać! Jego życie jest pełne tajemnic. Kiedyś zostaną ujawnione, jeśli Bóg tak zechce!

– *Señor* Sternau twierdził, że on jest prawdziwym hrabią Alfonzem.

– Ach, widzę, że ten Sternau musi być niezwykle ciekawym człowiekiem. Kto chce wyjaśnić tajemnice Rodrigandy, ten najpierw musi poszukać jego wsparcia. Trzeba go odnaleźć. Poszukam go!

– Proszę to zrobić, och, proszę to zrobić, świętobliwy ojcie! – błagała kasztelanowa. – Tylko on jeden może przyjść z pomocą *contessie* i innym.

– Zrobię, co w mojej mocy. Czy można zobaczyć tego rabusia, którego zastrzelił *señora* Gasparino?

– Tak. Leży na dole w piwnicy – powiedział Alimpo.

– Proszę mnie do niego zaprowadzić!

Obaj mężczyźni udali się na dół do piwnicy, w której leżał trup. Kasztelan właśnie zamierzał otworzyć drzwi, gdy nadszedł Cortejo. Staął i zapytał:

– Czego tutaj chcecie?

– Ten świętobliwy ojciec chce zobaczyć rabusia – usprawiedliwił się Alimpo.

– Co ty masz z tym wspólnego! – zawołał gniewnie notariusz. – Nie jesteś już kasztelanem. Nie wolno ci wchodzić więcej do żadnego pomieszczenia w zamku. Poza tym pozwól zmarłym pozostać w spokoju.

– Przepraszam, *señor* – powiedział mnich uprzejmym, ale bardzo stanowczym tonem. – Jestem sługą świętego Kościoła i proszę pana o pozwolenie zobaczenia ciała!

– Czego ojciec chce? Proszę odejść!

– Zastępuję tu święty Kościół. Mam do spełnienia ostatnie życzenie konającego. Bezwzględnie domagam się możliwości wejścia do piwnicy!

– Co? Domaga się ojciec! Jak ojciec śmie mi rozkazywać!

Cortejo powiedział te słowa groźnym tonem i postąpił o krok bliżej.

– Tak, żądam! – odpowiedział mnich spokojnie. – Czy pan jest *señorem* Cortejo?

– Tak.

– Więc dobrze. Nie będzie mi pan tu rozkazywał. Wchodzę, nie pytając pana więcej o pozwolenie!

Otworzył drzwi i wszedł do piwnicy. Cortejo postąpił za nim. Piwnica była zupełnie pusta, tylko pośrodku widniały leżące na ziemi brudne deski ze złożonym na nich ciałem, które nawet nie zostało okryte. Nieustraszone wystąpienie mnicha nie zrobiło na notariuszu wrażenia. Nieufnie przyglądał się dominikaninowi i zapytał:

– Kim był konający, którego ostatnia wola ojca tutaj przywiodła?

Zakonnik wskazał na zmarłego i powiedział:

– Ten tutaj!

– Ten? No też coś! Przecież nie znajdował się ojciec przy nim, gdy umierał.

– Był jednak konający, gdy ze mną rozmawiał, ponieważ szedł na śmierć.

– Ojciec go znał?

– Tak, tak samo dobrze jak pan.

– Ja? – powiedział zaniepokojony notariusz. – Nigdy nie poznałem tego człowieka!

– Proszę nie kłamać! – powiedział ojciec. – Chce pan zaprzeczyć, że znał pan kapitana?

– Był kapitanem? – zapytał zaniepokojony Cortejo.

– Proszę nie udawać! Nie jestem światowcem, ale jednak pan mnie nie zmyli. Ten nieboszczyk na pańskie polecenie podmienił syna hrabiego Rodrigandę na inne dziecko i pewnie musiał napaść niemieckiego lekarza oraz uśmiercić porucznika



Piwnica była zupełnie pusta, tylko pośrodku widniały leżące na ziemi brudne deski ze złożonym na nich ciałem, które nawet nie zostało okryte.

de Lautreville. Zastrzelił go pan, żeby go unieszkodliwić, ale na jego miejsce pojawią się inni świadkowie zeznający przeciwko panu. Gasparino Cortejo, jesteś największym złoczyńcą, jakiego znam. Nie triumfuj zbyt wcześnie! Biedny ojciec dominikanin będzie twoim przeciwnikiem, którego nie dasz rady zgładzić! Zanim jeszcze kapitan udał się do ciebie, przyszedł do mnie. Powiedział mi, że ci nie ufa. Gdyby miał nie wrócić, miałem się dowiedzieć, czy nie przytrafiło mu się coś złego. W ten sposób powierzył mi zemstę. Nie pomszczę go, ponieważ zemsta należy do Pana, ale odnajdę ukryte ścieżki, którymi podążasz. Bądź zdrów i do widzenia!

Odsunął notariusza na bok, wyszedł z piwnicy i opuścił zamek. Cortejo stał tam, oniemiały i wstrząśnięty, jak gdyby otrzymał uderzenie w głowę. Jego oczy były wytrzeszczone tak mocno, że wydawało się, jakby wyszły z orbit. Żył na jego czole były grube i napięte. Patrzył za odchodzącym nieobecny wzrokiem. Wkrótce jednak wziął się w garść i zwrócił się do kasztelana, który wszystko wyraźnie słyszał:

– Czego pan tu jeszcze chcesz? Won! – rozkazał mu.

Tego rodzaju ton dodał dobremu Alimpo niezwyklej odwagi.

– *Señor* – odezwał się. – Zapamiętałem wszystko, co przed chwilą usłyszałem!

– Won! – wrzasnął teraz Cortejo. – Jeszcze dzisiaj opuści pan zamek!

– Mam termin wypowiedzenia! – powiedział Alimpo, który jeszcze nigdy nie miał tak brawurowej odwagi jak teraz.

– Dostanie pan kwartalne wynagrodzenie, ale jeszcze dzisiaj musi się pan spakować!

Tymczasem ojciec dominikanin szedł przez wieś i zastanawiał się, co zrobić, żeby dowiedzieć się o miejscu pobytu doktora Sternaua. Hrabianka Rosa nie uzyskiwała żadnych informacji w Manresie, więc było przecież możliwe, że również wobec niego

zachowana zostanie dyskrecja. Postanowił wybać w okolicznych miejscowościach, czy widziany był jakiś powóz, któremu towarzyszyło czterech żandarmów. Nie było to jednak oczywiście takie proste i nie poszło również tak szybko, jak sądził. Poza tym został zmuszony do ponownego powrotu do jaskini, gdzie nic nie wiadano o miejscu pobytu kapitana. Przyniósł tam informacje o jego śmierci i oczekiwał na wybór nowego kapitana. Potem udał się ponownie w okolice Rodrigandy, żeby kontynuować swoje śledztwo.

Wreszcie udało mu się dowiedzieć, że jeden powóz eskortowany przez czterech żandarmów pojechał do Barcelony i prawdopodobnie zatrzymał się przed więzieniem, więc postanowił nawiązać znajomość ze strażnikiem więziennym. Było to trudniejsze niż wszystko, co do tej pory czynił, ale jego stan duchowny w konsekwencji ułatwił mu zdobycie zaufania starego i dostęp do jego domu. Odwiedzał go bardzo często i stopniowo pozwalano mu odwiedzać niektórych więźniów, którzy byli chorzy i potrzebowali pociechy duchowej.

W końcu dowiedział się również, że między więźniami znajduje się jakiś doktor Sternau.

Teraz zaczął myśleć tylko o jego uwolnieniu. Do tego przede wszystkim potrzeba było pieniędzy, a tych, niestety, nie miał. Rozmyślał, co dalej zrobić, i ostatecznie przyszedł mu na myśl kasztelan, o którym tymczasem dowiedział się, że opuścił Rodrigandę i mieszka w Manresie. Poszedł więc do niego i został przyjęty z ogromną radością.

– Dzięki Bogu, że jesteś, świątobliwy ojcze! – zawołał Alimpo. – Już sądziłem, że zapomniałeś o nas i wszystkich naszych przyjaciółach. Moja Elvira też tak mówiła.

– Nie zapomniałem ani o was, ani o innych – odpowiedział dominikanin. – Raczej pracowałem nieprzerwanie nad uwolnieniem *señora* Sternaua.

- *Señora* Sternaua? Ach! Wie ojciec, gdzie się znajduje?
- Tak, dopiero niedawno udało mi się tego dowiedzieć.
- Gdzie on jest?
- W Barcelonie.
- Co on tam robi? Dlaczego się nie pokazuje?
- Jest uwięziony.
- Uwięziony! Och! Och! Słyszysz to, moja ukochana Elviro?
- Tak, słyszę, mój Alimpo – powiedziała pytana. – To na pewno wina Corteja!
- Nikogo innego! Czy długo jeszcze będzie więziony, świątobliwy ojczu?
- Nigdy nie będzie ponownie wolny, jeśli my go nie uwolnimy.
- My? Och, ależ chętnie! – zawołał Alimpo. – Ale co my możemy zrobić?
- Hm, dużo i mało. Ma pan pieniądze, *señor* Alimpo?
- Pieniądze? Ile? Na co?
- Naturalnie *señor* Sternau nie ma w więzieniu żadnych środków, a jeśli chce uciec, to potrzebuje pieniędzy, żeby móc przekroczyć granicę, a ja – ja jestem przecież tylko ubogim sługą Bożym, który żyje z datków ofiarowanych przez wiernych.
- Wtedy Alimpo poderwał się ze swojego krzesła, otworzył szufladę komody, sięgnął do środka i wyciągnął na wierzch kilka wielkich, wypełnionych sakiewek oraz portfel.
- Tutaj, proszę, bierz! – zawołał entuzjastycznie. – Mam pieniądze, dużo pieniędzy, niech ojciec bierze wszystko!
- Ile tego jest?
- Cztery albo pięć tysięcy duros, nasze oszczędności całego życia. Dla dobrego *señora* Sternaua oddamy je bardzo chętnie, bardzo chętnie. Czyż nie, moja dobra Elviro?
- Tak – potwierdziła żona. – Niech tylko zostanie uwolniony, a potem może wyleczyć naszą kochaną *contessę*.

– Gdzie ona jest? – zapytał ojciec. – Chyba w zakładzie dla psychicznie chorych?

– Nie. Jest w Larissie¹⁰, w klasztorze świętej Weroniki, której przełożoną jest świątobliwa siostra Clarissa.

– Ależ ona nie powinna być w klasztorze, tylko w lecznicy!

– Czy mogła się przeciwstawić? Zakład ma otrzymać połowę jej majątku. Dowiedziałem się, że siostra Clarissa z nią wyjechała.

– Czy sprzeciwiała się?

– Nie. Zupełnie straciła własną wolę. Nie pamięta też w ogóle, kim jest.

Ojciec zamyślił się. Następnie zapytał Alimpo:

– Uważa pan, że *señor* Sternau wyleczyłby ją?

– Oczywiście, z całą pewnością!

– Dobrze. Niezwłocznie udam się do zakładu w Larissie. Więc powierzy mi pan tak dużo pieniędzy, ile potrzebuję, *señor* Alimpo?

– Proszę wziąć tyle, ile ojciec chce. Proszę wziąć wszystko, już to ojcu przecież powiedziałem! Czyż nie, moja Elviro?

– Tak – odpowiedziała jego gruba żona.

– No dobrze – powiedział ojciec. – Muszę mieć konia dla niego, może też jednego dla siebie. Daj mi dwieście duros.

– Dwieście? To za mało. Proszę wziąć pięćset!

– Nie potrzebuję tak dużo, przynajmniej nie teraz, ale jednak je wezmę, ponieważ na wszelki wypadek lepiej jest mieć więcej niż mniej.

Wziął pieniądze i odszedł. Od Manresy do zakładu było dwie godziny drogi. Jego duchowna odzież umożliwiła mu swobodne wejście do zakładu. Na miejscu zdołał zobaczyć hrabiankę Rosę. Dowiedział się również, że nie mówi ani słowa i bardzo mało je. Wciąż była piękna, ale była to uroda istoty zbliżającej się do

¹⁰ Larissa – miejscowość wymyślona przez autora.

grobu. Rosa przebywała zawsze na małym cmentarzu, który należał do zakładu, wychodziła do niego bardzo wcześnie, modliła się tam cały dzień i tylko wieczorny chłód mógł sprawić, że znów chciała wracać do swojej celi. Ponieważ teraz nastala zima, a na cmentarzu śnieg leżał po kostki, pobyt na nim musiał mocno podkopywać zdrowie fizyczne tej kruchej istoty, i tak chorej już na duszy, ale nikt się o to nie troszczył.

Po tym, jak duchowny wszystkiego się dowiedział i zobaczył, wrócił do Barcelony. Tutaj kupił konia i muła. Tego pierwszego dla Sternaua, a drugiego dla siebie, pozostawił jednak zwierzęta u handlarza, aby je odebrać dopiero w odpowiedniej chwili.

Tak upłynęły ponownie tygodnie i zbliżało się Boże Narodzenie. Właśnie w Wigilię odwiedził strażnika więziennego i dowiedział się od niego, że pewien więzień kona. Nie był sam w swojej celi, lecz siedział z niemieckim lekarzem. Duchowny ucieszył się w duchu, jednak nie dał tego po sobie poznać. Strażnik więzienny poprosił go, żeby z nim poszedł. Wziął ze sobą wielkie kółko z kluczami i zapalił latarnię. Obok drzwi wisiały dwa duże klucze do bramy. Należały do dwóch urzędników, którzy je tutaj pozostawili. Podczas gdy strażnik zajęty był latarnią, duchownemu udało się przyciągnąć do siebie niezauważenie jeden z tych kluczy. Następnie udali się do celi umierającego.

Co nastąpiło potem, już wiemy. Sternau zmuszony do przeniesienia zwłok zmarłego, zdołał uciec. Tymczasem duchowny przyprowadził oba zwierzęta i czekał na niego na drodze do Rodrigandy. Nie padło wprawdzie między nimi ani jedno słowo, ale ojciec był przekonany, że lekarz po ucieczce skieruje się w stronę zamku.

Gdy Sternau zobaczył konia i muła, w dodatku dosiadanego przez człowieka w stroju duchownego, pojął, że oto spotkał tego, dzięki któremu zdołał zbiec z więzienia.



Gdy Sternau zobaczył konia i muła, w dodatku dosiadanego przez człowieka w stroju duchownego, pojął, że oto spotkał tego, dzięki któremu zdołał zbiec z więzienia.

- Czekasz na kogoś, świętobliwy ojcze? – zapytał.
- Tak.
- Na kogo?
- Na pana, *señor*!
- Ach, domyśliłem się tego. Wysłano ojca, żeby mnie uwolnić?
- Tak. Wsiadaj! Chyba jeździ pan konno?
- Tak.
- Musimy w ciągu dwóch godzin dojechać do Manresy, nawet jeśli zwierzęta miałyby paść.
- Dlaczego tak szybko? Dlaczego do Manresy, a nie do Rodrigandy?
- Proszę wsiąść, *señor*, nie ma czasu do stracenia. Powiem panu po drodze wszystko to, czego musi się pan dowiedzieć.
- Sternau wskoczył na konia i popędził drogą tak szybko, jak tylko zwierzęta potrafiły biec. Lekarz z rozkoszą oddychał czystym, zimowym powietrzem. Po dłuższej chwili zapytał:
- Nie znam ojca, nigdy wcześniej się nie widzieliśmy. Czyżby to *contessa* Rosa przysłała ojca?
- Nie.
- Nie? Kto zatem? – zapytał zaskoczony.
- *Señor* Alimpo.
- Kasztelan? Ach tak, więc jednak na zlecenie *contessy*.
- Nie. *Contessa* jest chora i nie może wydawać żadnych poleceń.
- Sternau był głęboko wstrząśnięty.
- Chora? – zapytał. – Na co jest chora?
- Ona jest... – duchowny urwał ostrożnie, a następnie kontynuował: – Ma tę samą chorobę, z której miał pan wyleczyć jej ojca. Te słowa trafiły Sternaua jak nagły cios.
- Czy dobrze słyszę? – zapytał. – Ona jest... obłąkana?
- Tak.
- Obłąkana!

Nie wypowiedział tego słowa, nie, on je wykrzyczał, tak, że cała głębia jego bólu dobitnie wybrzmiała w ciszy bezgłośnej nocy. Potem nagle osadził swojego konia.

– Gdzie ona jest? – zapytał z największą trwogą.

– W zakładzie świętej Weroniki w Larissie.

– Której przełożoną jest siostra Clarissa?

– Tak.

– Ach, zgadłem! – zgrzytnął zębami. – Czy tak zwany trup hrabiego Emanuela został pochowany?

– Tak.

– Hrabia Alfonzo jest następcą?

– Tak.

– Gasparino Cortejo jest przy nim?

– Tak.

– Gdzie jest siostra Clarissa?

– Teraz przebywa w swoim zakładzie.

– A kasztelan?

– Mieszka w Manresie. Został odprawiony. Dał mi pieniądze, żebym kupił te dwa zwierzęta. Da więcej pieniędzy panu, tak dużo, ile potrzeba do pańskiej ucieczki, *señor*.

– A kim ojciec jest? Dlaczego się ojciec mną interesuje?

– Tego dowie się pan później.

– Nie. Muszę wiedzieć od razu. W tym momencie muszę rozstrzygnąć, co mam dalej robić.

– No dobrze, *señor*. Uwolniłem pana po to, aby mi pan pomógł odnaleźć porucznika de Lautreville.

– Ojciec go zna?

– Tak, on jest hrabią Alfonzo de Rodriganda.

– Ach, więc całkiem tak jak podejrzewałem! Później powie mi ojciec więcej, ale teraz ani słowa. Wiem dosyć. Ale, świętobliwy ojcie, czy widział ojciec jeszcze jednego człowieka?

– Człowieka? – zapytał zdziwiony duchowny.

– Tak. Jeśli go ojciec jeszcze nie widział, to koniecznie powinien go dzisiaj poznać. Naprzód!

Pobudził do biegu swego konia i pędzili przez noc z taką prędkością, że mogliby być ledwie dogonieni przez wicherę. Nie minęły nawet dwie godziny, gdy zobaczyli leżącą przed ich oczami Manresę.

– Zostawimy konie tutaj przed miastem, w gospodzie – powiedział Sternau. – Lepiej, żeby nikt nas nie widział.

Zsiedli, przywiązali parujące z wysiłku i drżące konie w stajni, i zakradli się do domu kasztelana, do którego doszli niezauważeni.

Alimpo siedział w swojej izdebce i rozmawiał z Elvirą. Podarowali sobie nawzajem prezenty gwiazdkowe i wspominali tych, którym dzisiejszego wieczora nie było dane świętować Bożego Narodzenia. Wtedy drzwi się otworzyły i do środka wszedł Sternau, a za nim duchowny, który natychmiast zaryglował za sobą drzwi.

– *Señor* Sternau! – zawołał kasztelan, zrywając się z krzesła.

– *Señor* Sternau! – wykrzyknęła kasztelanowa.

W następnej chwili oboje chwycili jego ręce i okryli je pocałunkami.

– Och, teraz już jest wszystko, wszystko dobrze! – cieszyła się pani Elvira ze łzami radości w oczach. – Teraz także nasza kochana, dobra *contessa* znowu będzie wolna!

– Tak, musi być wolna! – przyrzekał Sternau. – Wolna i zdrowa! Biada tym trucicielom, gdybym się przekonał, że nie można jej wyleczyć. Zmiażdżę ich! Nie mamy zbyt dużo czasu, *señor* Alimpo, ale opowiedz mi jeszcze, co się wydarzyło, tylko szybko, bardzo szybko!

Kasztelan spełnił polecenie. Gdy skończył, Sternau powiedział w zadumie:

– I pomyśleć, że *contessa* jest w mocy tych ludzi, ludzi przeciwko którym nie mogę oficjalnie wystąpić tak długo, jak znajduję się w Hiszpanii. Uciekłem z więzienia, chcę uprowadzić ją z zakładu i muszę pojechać do Rodrigandy, żeby przywieźć kilka rzeczy, których potrzebuję. Jestem więc od teraz potrójnym przestępcą. Dzisiaj jeszcze, wraz z *contessą*, muszę przekroczyć granicę. Alimpo, daj mi pieniądze! Bardzo szybko je pan znowu odzyska!

– Wszystkie, niech pan weźmie wszystkie, *señor* Sternau! – brzmiała odpowiedź.

Wtedy wystąpiła Elvira i zapytała:

– Uwolni pan hrabiankę?

– Tak, jeszcze tej nocy.

– I dokąd pan z nią pojedzie?

– Przez granicę do Francji, a potem jeszcze dalej, do Niemiec, do mojej ojczyzny.

– *Señor*, jadę z panem! Czyż nie, mój kochany Alimpo?

– Tak, jedziemy z panem!

Słowa te wypowiedziane były z taką stanowczością, że było słyhać, iż ci dobrzy ludzie rzeczywiście mówią poważnie. Sternau odpowiedział:

– To nie wchodzi w rachubę. Cieszę się, że tak się troszczycie. Ja również potrzebuję bardzo pilnie kogoś do posługi dla naszej chorej hrabianki, ale wy nie możecie tak szybko stąd wyjechać. Macie majątek i rzeczy.

– *Señor*, mimo to jedziemy z panem! – oświadczył Alimpo. – Przysięgam, że nie opuścimy pana i naszej hrabianki! Ten dom, w którym mieszkamy, należy do mojego siostrzeńca. On nas nie zdradzi, dzisiaj może słyszeć i widzieć co chce. Może później sprzedać nasze rzeczy, a pieniądze wysłać mi do Niemiec.

– Dobrze – odpowiedział Sternau. – Nie mamy czasu, żeby się sprzeczać. Możecie jechać z nami!

– Dzięki, tysięckrotne dzięki, *señor*! – zawołał Alimpo. – Czyż nie, moja Elviro?

– Tak, *señor*, nigdy tego panu nie zapomnimy! – odpowiedziała.

– Więc chce pan jechać do Rodrigandy? – zapytał Alimpo lekarza.

– Tak.

– Mam jeszcze klucz do jednej z bocznych bram.

– Dziękuję! Wejść swobodnie i oficjalnie do zamku! – powiedział Sternau dumnie. – Czy jest tam jeszcze dużo dawnej służby?

– Kilkoro.

– Dobrze. Czy ma pan broń, Alimpo?

– Tak.

– Proszę mi ją dać!

– *Señor*, idę z panem!

– Nie, pan zostanie! Nie powinien pan robić niczego, co później przyniesie panu szkodę. Jadę sam.

– *Señor* Sternau, nie pozwolę panu jechać samemu – powiedział mnich. – W każdym przypadku muszę panu towarzyszyć!

– Możesz sobie tym zaszkodzić, świętobliwy ojcze!

– Ja sobie? Nie! Przekona się pan później, że miałem rację. Nie mam się czego obawiać!

– Niech więc ojciec jedzie ze mną! Alimpo tymczasem przygotowuje wszystko do wyjazdu.

– Czy mam zatroszczyć się o pojazd? – zapytał kasztelan.

– Nie – odpowiedział Sternau. – Teraz na wszystkich drogach leży śnieg, co w Hiszpanii jest rzadkością. Nie potrzebujemy pojazdu, lecz sań. Sprowadzę jakieś ze sobą.

– Skąd?

– Z zamku Rodriganda.

– *Señor*! – zawołał przestraszony Alimpo. – Zdradzi się pan!

– Ech, mam zamiar pokazać się oficjalnie i zażądać dwoje podróżnych sań dla hrabianki Rosy. Zobaczę, czy odważą się mi odmówić. W drogę, ojczcze!

Wziął ze sobą naładowaną broń, po czym opuścił dom. Czuł, że teraz odważy się zaryzykować choćby i tysiąc swoich żywotów, by pokonać nawet najsilniejszy opór. Rosa musiała stać się wolna, za wszelką cenę!

Po krótkim czasie wjechali na drogę do Larissy. Nie minęło nawet pół godziny, jak dojechali do miasteczka. Ojciec skierował się w stronę samotnego kompleksu budynków, które wyrastały posępnie z zaśnieżonego pola.

– Jak wejdziemy do środka? – zapytał Sternau.

– Przez mur cmentarza – brzmiała odpowiedź.

Mur ten wznosił się dokładnie przed nimi. Był wysoki tylko na trzy łokcie tak, że oni, którzy siedzieli na koniach, mogli przez niego zajrzeć na drugą stronę. Stanęli przy nim. Sternau spojrział do środka i wskazał na ciemną postać, która zupełnie bez ruchu klęczała między grobami.

– Co to jest? – zapytał. – Posąg?

Duchowny przyjrzał się bystrzej i odpowiedział przerażony:

– Na Boga, to ona!

– Kto? Przecież chyba nie hrabianka!

– A jednak! To jest ona!

– O takiej porze! W takie zimno! W takim śniegu! Ach, rozumiem! Ma zamarznąć. Ma być również chora na ciele! Nikt się przecież nie musi martwić, że ucieknie. Och, łajdacy! Przez to tylko ułatwiliście mi zadanie!!

Zsiadła wdrapał się na mur i następnie zeskoczył po jego drugiej stronie, po czym ruszył w jej kierunku. Czy ona go widziała? Czy usłyszała jego nadejście? Nie. Klęczała pomiędzy grobami w głębokim, mocno zmrożonym śniegu. Nie poruszała niczym, jak tylko ustami – modliła się. Natychmiast ją rozpoznał mimo

włosienicy¹¹ którą była okryta, mimo zapadniętych oczu i policzków, i mimo na wpół trupiej bladości, jaką na jej twarzy pozwalała rozpoznać jasna gwiezdna poświata.

– Rosa! – zawołał drżącym głosem.

Nie słyszała tego.

– Rosa – prosił ją. – Spójrz na mnie!

Również tego nie słyszała.

Ukląkł obok niej i wziął ją w swoje ramiona. Całował ją i nazywał najczulszymi słowami, ale ona niczego nie słyszała i nie czuła. Jego serce ścisnęło się w niekończącym się bólu w obliczu tak niegdyś nadobnej istoty. Nie było jednak czasu na wahanie się. Wziął ją znów w ramiona i zaniósł pod mur. Tam ojciec przejął ją nad murem i przytrzymał, aż on przeskoczył przez mur i ponownie dosiadłszy konia, usadził kobietę przed sobą.

– No to z powrotem! – powiedział.

W ogromnym pośpiechu dwaj jeźdźcy obrali teraz drogę do Rodrigandy. Gdy ujrzeli przed sobą zamek, Sternau zatrzymał konia i powiedział:

– Zrobiłeś już dla nas wystarczająco dużo, mój dobry ojcie. Co teraz nadejdzie, jest zbyt niebezpieczne. To może być uznane za przestępstwo. Bądź tak dobry, jedź do Manresy i tam na mnie poczeka!

– *Señor*, zostanę z panem! – odparł duchowny.

– Nie zgadzam się na to!

– Cóż, chcę więc panu powiedzieć, że hrabia Alfonzo i Cortejo są również moimi śmiertelnymi wrogami. Mogą mnie oskarżyć, o co chcą, ja i tak się ich nie przeleknię. Zatem jedziemy, *señor*!

– Niech się stanie więc zgodnie z ojca wolą!

Popędzili przez wieś. W *vencie* dostrzegli światło. Sternau skierował swojego konia do małego okna, przez które polyskiwało

¹¹ *Włosiennica* – szorstka szata noszona dawniej na gołe ciało dla umartwienia, pokuty lub z powodu żaloby.



Wziął ją znów w ramiona i zaniósł pod mur.

światło i zastukał. Po pewnym czasie bardzo ostrożnie je otworzono i w świetle lampy dała się rozpoznać głowa przykryta ogromną szlafmycą¹².

– Co jest? – zapytał mężczyzna. Był to gospodarz.

Lekarz, siedząc cały czas na koniu, skierował twarz w stronę okna i zapytał:

– Spójrz tutaj! Czy mnie pan poznaje?

– O Boże! *Señor Sternau!* – zawołał właściciel *venty*. – Czy to możliwe?

– Tak, to ja. Czy wyświadczy mi pan przysługę?

– Chętnie! Jaką?

– Proszę znów pójść do alkada i powiedzieć mu, że powinien przyjść do zamku z wiejską starszą.

– Po co oni tam?

– Dowiedzą się.

Pośpieszyli dalej, a gospodarz patrzył za nimi, kręcąc głową.

– Ten *señor doktor!* – mruknął. – Skąd przyszedł? Co miał na koniu? To wyglądało dokładnie jak ludzka postać! A ten drugi był mnichem. Prawie mógłbym przysiąc, że to był ten sam, który niedawno zatrzymał się w mojej *vencie*.



Gdy obaj jeźdźcy dotarli do zamku, zsiadli z koni. Nie było widać ani jednego oświetlonego okna, a tylko z portierni sączyło się migoczące światelko. Sternau zapukał, a chwilę później portier podszedł do kraty.

– Kto tam? – zapytał. – W porze nocnej nie jest otwarte!

– A mimo to otworzysz, Henrico! – powiedział Sternau. – Mam nadzieję, że mnie jeszcze poznajesz?

¹² *Szlafmyca* (z niem. *Schlafmütze* lub *Nachtmütze*) – dawne nakrycie głowy, które było zakładane do snu, zazwyczaj przez ludzi starszych, łysych lub przez osoby odczuwające dotkliwy chłód w nocy; spiczasta końcówka szlafmycy często była ozdobiona pomponem.

Portier na dźwięk tego głosu cofnął się w radosnym zdumieniu.

– *Señor* Sternau! Mój Boże! Tak, tak, natychmiast otwieram!

Śpieszył się, żeby otworzyć bramę, przez którą wszedł Sternau z obłąkaną na rękach. Portier zobaczył to i rozpoznał ją. Z wrażenia prawie upuścił lampę.

– Święta Madonno! – zawołał. – To przecież *contessa*!

– Faktycznie. Nie wiesz, czy w jej pokoju wszystko zostało po staremu?

– Nic dotychczas w nim nie zostało zmienione. Mam tutaj klucz, ponieważ żaden kasztelan nie został jeszcze zatrudniony.

– Więc weź klucz i poświeć przed nami.

– Czy nie powinienem obudzić hrabiego?

– Budzić będziemy dopiero później. Teraz chodź!

– Albo chociaż pokojówkę *contessy*?

– Czy ona jeszcze tu jest?

– Tak. Ma obsługiwać siostrę Clarissę, gdy ta przybywa z wizytą do Rodrigandy.

– Więc ją obudź, ale wszystko powinno być zrobione w ciszy.

Rzecz, którą teraz przede wszystkim lekarz miał do zrobienia, to obserwować wrażenie, jakie znajome mieszkanie robi na chorej. Pokój został otwarty, Sternau wniósł Rosę do środka i położył na otomanę, ale ona natychmiast ześlizgnęła się na podłogę, żeby modlić się ze złożonymi rękoma. W ogóle nie zauważyła, że zamieniła zimny cmentarz na swój poprzedni pokój. Sternau zupełnie nie pozwolił sobie na okazanie tego, co czuł, poza tym właśnie weszła jej była pokojówka. Ta nie posiadała się z radości, że widzi swoją panią, a Sternau polecił jej, żeby ubrała i przysposobiła hrabiankę do dalekiej podróży. Potem wydał polecenie portierowi, by cała służba zebrała się w jadalni. Sam poszedł do pokoju hrabiego Alfonza. W przedpokoju spał służący, który podniósł się bardzo zdziwiony, gdy rozpoznał Sternaua. Doktor odprowadził go i wszedł do sypialni Alfonza.

Hrabia leżał w łóżku i spał. Lampa wystarczająco oświetlała komnatę. Bez chwili wahania Sternau podniósł pięść i uderzył śpiącego w czoło.

– Tak – powiedział, uśmiechając się. – Nie jest martwy, tylko nieprzytomny. Zwiążę go.

Znalazł kilka chust, które zostały użyte jako powrozy i knebel. Potem opuścił pokój, zamknął za sobą drzwi i schował klucz. Teraz ruszył drogą prowadzącą do pokoju adwokata. Drzwi były zamknięte, więc zapukał.

– Kto tam? – rozległ się po chwili z wewnątrz głos Corteja.

– Ja. Otwórz mi! – odpowiedział Sternau, naśladując głos Alfonza.

– Do stu piorunów! Co się dzieje? Czy to nie może poczekać? – zapytał adwokat, ziewając.

– Nie.

– Więc wejdź! Jestem ciekawy, z czym przychodzisz.

Dało się słyszeć, że wstał z łóżka i zakładał szlafrok. Następnie przyczłapał bliżej i otworzył drzwi. Na korytarzu było tak ciemno, że nie widział, kto stoi po drugiej stronie.

– No, chodźże bliżej, Alfonzo! – powiedział. – Co ci przyszło do głowy, żeby tak późno...

Zatrzymał się w pół zdania, ponieważ strach pozbawił go mowy. Sternau wszedł i zamknął za sobą drzwi. Nocna lampka świeciła na tyle mocno, że notariusz rozpoznał niespodziewanego gościa i w wielkim przerażeniu zapomniał języka w gębie.

– Wydaje się pan nie rozpoznawać mego głosu – powiedział Sternau tonem, który brzmiał zimno jak lód i ostro jak stal.

– Sternau! – wymamrotał teraz notariusz.

Nie był jeszcze w stanie wymówić głośno żadnego słowa, ale wykonał pewien ruch, jakby chciał doskoczyć do drzwi. W tej samej chwili jednak lekarz uderzył go pięścią w głowę tak, że padł jak worek na podłogę. Minutę później był związany i zakneblowany,

jak wcześniej hrabia Alfonzo. Sternau zamknął go i udał się do jadalni, gdzie cała służba stała w oczekiwaniu na to, co miało się wydarzyć. Alkad ze starszym wioski również już przybyli. To Sternau chciał wiedzieć. Poprosił tych ludzi, żeby nie opuszczali sali i oczekiwali jego powrotu, a tymczasem udał się do adwokata, który w tym czasie powrócił do świadomości. Siadł koło niego i powiedział:

– *Señor Cortejo*, związałem pana, żeby mi pan nie przerywał, gdy będę do pana mówić. Proszę posłuchać! To, że jest pan najgorszym łajdakiem na świecie, to przecież pan wie, a więc nie muszę już tego mówić, zatem równie mało pana będzie dziwić, że potraktuję pana jak łajdaka. Pan mnie zdradził i posłał do więzienia...

Związany notariusz ze strachu wykonał przeczący ruch głową. Sternau jednak mówił dalej:

– Niech pan nie kłamie! To panu nie pomoże! Jestem znowu wolny. Pańska zdrada zatem nie osiągnęła zupełnie celu. Posunął się pan tak daleko, że zniewolił nawet hrabiankę Rosę. Nie mieszkała wprawdzie w więzieniu, lecz w pobożnym klasztorze, ale i ona jest już ponownie wolna. Mam ją tu ze sobą. Jest obłąkana. Pan ją otrul, tak jak otrul pan hrabiego Emanuela. Proszę nie kręcić głową! Przeprowadził pan swoje przestępstwo tak sprytnie, że nie mogę jeszcze pana dopaść, ale nadejdzie czas, gdy pana schwytam, a wtedy niech Bóg się nad panem zmiłuje! Na dzisiaj niewiele jest tego, co mam jeszcze do dodania. Zabieram ze sobą *contessę* Rosę. Dlatego pozwalam sobie na spakowanie tutaj potrzebnych rzeczy, jak również o zatroszczenie się o stosowne papiery. Te będą potrzebne, ponieważ hrabianka będzie naciskać na wypłatę za swój majątek. Sądzi pan, że to się nie uda, ponieważ jest obłąkana? Ha, ja to zrobię! Powiem panu, co następuje: jeśli okaże się, że choroba *contessy* jest nieuleczalna, czeka pana najstraszniejsza, najbardziej przerażająca śmierć, jaka



Minutę później był związany i zakneblowany, jak wcześniej hrabia Alfonzo.

wyjdzie spod mojej ręki. Aby ją wyleczyć, potrzebuję środków, których chciałem już użyć wobec hrabiego Emanuela, mianowicie ślinę człowieka załaskotanego na śmierć. Ponieważ tylko pan swoją trucizną spowodował obłąd, to wydaje mi się w porządku, że również pan osobiście dostarczy antidotum. Będę cię teraz tak długo łaskotał, aż pnieć się będziesz pod wrażeniem obłąkańczej boleści. Zabiję jednak pana dopiero wtedy, gdy ten środek nie pomoże.

Na te słowa czoło adwokata pokryło się zimnym potem. Sternau nie przejmował się tym. Chwycił związanego mężczyznę, zaniósł do sąsiedniego pokoju i tam związał go tak, że ten nie mógł się ruszyć. Następnie zacisnął knebel i w końcu poszukał naczynia, do którego mógłby zebrać trującą pianę.

Strach, jaki odczuwał adwokat przy tych przygotowaniach, musiał być niezwykle przenikliwy. Wreszcie lekarz zdjął mu ciemną, delikatną nocną pończochę, wyjął z rzeczy do pisania gęsie pióro i zaczął nim łaskotać podeszwy stóp notariusza.

W tym czasie służba czekała w sali na jego powrót. Dłużyło im się, jednak nikt się nie ważył wystąpić przeciw jego poleceniu i opuścić sali. Wtedy weszła pokojówka, której hrabianka została powierzona i powiedziała, że z góry dochodzą jakieś bardzo przerażające dźwięki. Naradzano się, co zrobić i zgodzono się z tym, że alkad i portier powinni sprawdzić, skąd dochodzą te odgłosy.

Gdy obaj dotarli do korytarza, włosy stanęły im dęba. Tym, co usłyszeli, były wściekle okrzyki adwokata. Pomimo tego, że miał podwójny knebel i leżał w jednym z dalszych pokoi, jego wycie wydostawało się aż na korytarz. Właśnie dokładnie wtedy, gdy alkad chciał zapukać, zapadła cisza. Dlatego też powrócili do sali, gdzie po krótkim czasie dołączył do nich Sternau. Prowadził hrabiankę pod ramię.

Wszyscy obecni przerazili się widokiem swej ukochanej pani. Chcieli do niej podejść, by wyrazić swoje uczucia, ale Sternau zatrzymał ich i powiedział:

– *Señores*, czy panowie znają tę damę?

– Tak – rozbrzmiało wokół.

– Czy możecie przysiąc, kim ona jest?

Zdziwiono się takim pytaniem i ponownie odpowiedziano „tak”.

– Niech więc alkad powie, kim ona jest!

– Naturalnie to jest *contessa* Rosa de Rodriganda-Sevilla – odpowiedział wezwany.

– Więc proszę usiąść, *señor* i wystawić mi urzędowe świadectwo, że ta *doña* jest hrabianką. Wszyscy obecni podpiszą ten dokument.

– Dlaczego?

– Ktoś nastaje na życie hrabianki. Ktoś doprowadził ją do obłądu. Będę ją ratował za wszelką cenę i potrzebuję do tego wspomnianego zaświadczenia.

Alkad chciał pytać jeszcze dalej. Znalazł się przed wrotami tajemnicy, które chętnie by sforsował, jednak doktor poprosił o pośpiech, a on musiał się do tego zastosować.

Potem Sternau poszedł do pokoi, w którym sam zamieszkiwał. Został je w zasadzie nienaruszonymi i w obecności alkada oraz starszego wioski spakował to, co zamierzał zabrać. Potem urzędnicy musieli towarzyszyć mu do pokoi hrabianki, gdzie również zanotowano wszystko to, co zostało zabrane. W ten sposób zabezpieczył się przed przyszłymi oskarżeniami. Najwięcej warte były dla niego: świadectwa urodzenia, chrztu i bierzmowania hrabianki. Znalazł te dokumenty w jej biurku i schował przy sobie.

Alkad poprosił o wyjaśnienie wszystkich tych tajemniczych nocnych wydarzeń. Pytał także o hrabiego Alfonza i notariusza,

ale nie otrzymał wyjaśnień. Potem Sternau polecił zaprząć najszybsze konie do dwóch sań, wsiadł do jednego z hrabianką, podczas gdy duchowny kierował drugimi, a następnie odjechali. Pozostawili natomiast oba zwierzęta, na których przybyli do Rodrigandy.

Obecni patrzyli za tymi saniami tak długo, jak długo były widoczne, potem, gdy ich nie widzieli – popatrzyli po sobie nawzajem. Co to było? Co to miało znaczyć? Skąd Sternau, który co dopiero zniknął z ich oczu, tak nagle przybył i dokąd pojechał z hrabianką? Dlaczego w ogóle nie chciał spotkać się z hrabią i adwokatem?

Udali się do pomieszczeń tego pierwszego i zastali je zamknięte. To wydało się podejrzane. Zapukano i uważnie nasłuchiowano. W odpowiedzi usłyszeli stłumione jęczenie. Przyniesiono pierwsze lepsze narzędzie, by wyważyć drzwi i znaleziono hrabiego Alfonza leżącego w łóżku, związanego i zakneblowanego. O niczym nie wiedział, ale gdy tylko został uwolniony i usłyszał, że był tu Sternau i miał ze sobą hrabiankę, narzucił leżące obok ubrania i pospieszył do adwokata.

Także te drzwi były zamknięte. Również je wyważono i znaleziono Corteja w stanie nienadającym się do opisanego. Musiał się kurczyć i wić pod więzami tak mocno, że wbiły się one głęboko w jego ciało; kneble były całkowicie przesiąknięte pianą i minęło sporo czasu, zanim jego nerwy, doprowadzone do granic najstraszliwszego szaleństwa, uspokoiły się na tyle, by mógł opowiedzieć hrabiemu w cztery oczy, co się wydarzyło.

Alfonzo natychmiast zarządził jak najszybszy pościg i sam dosiadł konia, by wezwać policję z Manresy i niezwłocznie podjąć potrzebne kroki.

Tymczasem dwoje hrabiowskich sań dojechało do tego miasta. Radość, jaką kasztelan i dobra Elvira odczuli na widok swojej pani, nie jest możliwa do opisanego. Wprawdzie wierzyli, że

wszystko zostało już przygotowane do dalszej drogi, ale okazało się, że było jeszcze to i tamto do nadrobienia, tak więc postój trwał dłużej, niż tego sobie życzył Sternau.

– O teraz się nie martwię – powiedział do duchownego – ale później...!

– Właśnie o to „później” nie musi się pan martwić, *señor* – odpowiedział mnich. – Byle byśmy tylko dotarli do gór. Potem pozwól mnie się martwić.

– Jak daleko pojedzie ojciec z nami?

– Aż na drugą stronę granicy.

– Więc mamy jeszcze czas na wyjaśnienia. Teraz musimy się śpieszyć. Wezmę hrabiankę i Elvirę do moich sań. Alimpo pojedzie z panem. Naprzód!

Odjechali po tym, jak odważni kasztelaństwo pożegnali się ze swoim siostrzeńcem. Dwoje sań opuściło miasto od północy dokładnie w tej samej chwili, w której Alfonzo od południa do niego wjeżdżał.

Konie były bardzo dobre, ale w górach śniegu było coraz więcej, droga coraz bardziej nieprzejezdna i w następstwie tego jazda stawała się coraz wolniejsza. Unikano tak bardzo, jak to możliwe, większych zamieszkałych miejscowości, jednak ta ostrożność zmuszała ich do wielu objazdów. Pod wieczór konie były już tak zmęczone, że konieczne okazało się przenocowanie w samotnej oberży stojącej przy drodze.

Już następnego ranka o świcie konie zostały ponownie zaprzęgnięte. Dla Sternaua była to smutna podróż. Rosa nie poznawała go. Pozostawała obojętna w stosunku do wszystkich i tylko ciągle się modliła. Podobnie jak Elvira zadawał sobie wiele trudu, żeby skierować uwagę chorej na jakiś określony przedmiot, jednak daremnie. Wydawało się zupełną niemożliwością, by wróciła do świadomości swojego własnego bytu lub do wiedzy o obecności jakiegokolwiek innej rzeczy spośród otaczającej ją rzeczywistości.

Kiedy zbliżyło się południe, znajdowali się już w środku Pirenejów.

Stała tam samotna gospoda, a ponieważ konie z powodu głębokiego śniegu były już bardzo zmęczone, Sternau postanowił zatrzymać się tutaj na krótką chwilę. Podróżujący wysiedli i weszli do wąskiej, pustej izby, w której gospodarz nie mógł im zaoferować nic więcej, jak tylko ogromne palenisko i kawaleczek wyschniętego, w połowie spleśniałego chleba. Na szczęście dobra pani Elvira przed wyjazdem z Manresy zadbała o to, by zapasy żywności wraz z kilkoma butelkami wina zostały zapakowane do sań. Z wielką gorliwością zajęto się ich spożywaniem.

Znajdujące się w samotnym domu sprzęty składały się tylko z kilku prostych, drewnianych stołków i długiego, grubo ociosanego stołu, przy którym wchodzący goście obok gospodarza zobaczyli siedzącego mężczyznę. Jego wygląd nie budził zaufania. Nosił obszerne, skórzane spodnie, skórzane getry, podartą kurtkę, której guziki zastępowały stare miedziane monety oraz mocno zużyty i wygnieciony kapelusz. Za pasem, między dwoma ogromnymi pistoletami, sterczał długi nóż. Między jego kolanami tkwił stary karabin, a obok niego siedział jeden z tych wielkich, niedźwiedziowatych pirenejskich psów, jakie potrafią poradzić sobie nawet z kilkoma mężczyznami.

Ujrawszy podróżnych usunął się kąś, ale rzucił zdziwione spojrzenie, gdy zobaczył wchodzącego następnie duchownego, który nieco dłużej zatrzymał się przy koniach. Gdy ten zauważył mężczyznę, dał mu tajemniczy znak i ponownie wyszedł z domu na zewnątrz.

– Do stu piorunów, ojcze, skąd przybywasz z tymi wytworowymi ludźmi? – zapytał.

– Z Manresy – odpowiedział zapytany.

– Sam powozisz sanie!

– Jak widzisz.

– Dokąd prowadzi droga?
– Na drugą stronę, do Foix¹³.
– Czy są to przyjaciele?
– Tak. Znajdują się pod moją opieką.
– Więc niech jadą w imię Boże. Mam tylko nadzieję, że nam nie zaszkodzą.

– Zaszkodzić? W jaki sposób?
– Przez to, że nas poznają i zdradzą. Czekamy na transport towaru z tej strony na tamtą. Powinien przybyć gdzieś przed wieczorem. Umieścimy do trzydziestu ludzi na poddaszu. Jeśli twoi towarzysze coś zauważą i powiedzą Francuzom, to stracimy połów.

– O nic się nie martw! Niczego nie zauważą. Zostaniemy tu tylko pół godziny.

To zapewnienie uspokoiło rabusia. Wrócił do izby i usiadł w kącie na swoim miejscu. Wydawał się nie przejmować podróży, ale z wdzięczną miną wziął szklanekę wina, który podał mu Alimpo.

Tak minęło prawie pół godziny, gdy nagle z zewnątrz usłyszano tętent końskich kopyt i głośnie, wesole okrzyki. Elvira stanęła w małym, wąskim oknie i spojrzała na zewnątrz. Pobladła, załamała ze strachu ręce i zawołała:

– Santa Madonna, to żandarmi!

Alimpo poderwał się i także wyrwał. On również okazał najwyższego stopnia przerażenie, krzycząc:

– I *corregidor* jest między nimi!

– Który? – zapytał Sternau.

– *Corregidor* z Manresy.

– Ach! Ten przybywa w samą porę!

– Och, *señor*; żaden opór nie jest możliwy. Jest ich około dwudziestu!

¹³ Foix – miejscowość i gmina w południowej Francji, w regionie Oksytania, w departamencie Ariège, położona u podnóża Pirenejów w dolinie rzeki Ariège.

Sternau przekonał się jednym spojrzeniem, że te słowa to prawda i powiedział zdecydowanie:

– Mimo to będę walczył!

Wtedy obcy wyszedł z kąta i powiedział:

– Proszę się nie martwić, *señor*! Jesteście pod moją opieką!

Sternau spojrzal zaskoczony na mówiącego i zapytał:

– Kim pan jest?

– Szlachetny przyjacielu, dał mi pan wino. Będę pana bronił.

Czy nie widzisz, że duchowny już zniknął? Znamy się. Przypro-
wadzi pomoc. Proszę siedzieć spokojnie i pozwolić mi działać!

Alimpo ze swoją Elvirą wycofali się do najdalszego kąta izby.
Sternau ponownie usiadł, ale trzymał broń w pogotowiu. W tym
czasie z zewnątrz rozbrzmiewały różne nawoływania, z których
Sternau zrozumiał, czego może oczekiwać po przybyszach.

– To oni! – powiedział jeden głos.

– Tak, to są sanie i konie hrabiego! – dodał kolejny.

– Zarobimy na nagrodę! – cieszył się trzeci.

– Zsiadać! Tędy! – rozkazał czwarty. Był to głos *corregidora*
z Manresy.

Teraz drzwi się otworzyły i weszło kilku żandarmów z *cor-
regidorem* na czele.

– Ach, *señor* Sternau, znowu się spotykamy! – powiedział
urzędnik, gdy zobaczył lekarza.

– Istotnie! – odpowiedział ten spokojnie.

– Jak się zdaje, nie podobało się panu w Barcelonie. Uciekł
pan, *señor*. To fatalnie dla pana. Poza tym już pan popełnił nową
zbrodnię!

– Jaką?

– Urowadzenie oraz morderstwo i rabunkowy napad na
mieszkańców Rodrigandy.

– To faktycznie brzmi nader niebezpiecznie! – zaśmiał się
Sternau.

– Bo tak jest. Spójrz na te kajdanki! Muszę panu założyć to żelazo i odprowadzić do Barcelony.

– Spróbuj jeszcze raz! – powiedział Sternau, podnosząc się gotowy do obrony.

Corregidor szybko i przezornie odsunął się o krok i powiedział:

– Ostrzegam pana! Żadnego oporu! Stoję tu z czterema żandarmami, a na zewnątrz przed domem stoi pozostałych piętnastu. Opór jest więc zupełnie daremny!

– Nie wierzę w to!

Słowa te wypowiedział człowiek w kacie. *Corregidor* odwrócił się do niego zaskoczony.

– Kim pan jest? – zapytał.

– Przyjacielem tego towarzystwa – odpowiedział mężczyzna obojętnie.

– Ach! Więc pomagał im pan?

– Nie, ale teraz im pomogę.

– Więc także pana aresztuję!

– Albo ja pana! – zaśmiał się nieznajomy.

– Mnie? – zapytał *corregidor* gniewnie. – Człowieku, nie strój sobie ze mnie żartów!

– Proszę się rozglądnąć!

Corregidor obejrzał się i cofnął się przerażony. Również jego czterech żandarmów odsunęło się mimowolnie na bok, ponieważ przez szeroko otwarte drzwi sterczało do wewnątrz przynajmniej dziesięć naładowanych luf karabinów, a jeszcze więcej mężczyzn stało w przedniej części korytarza, kierując swoje karabiny przeciwko żandarmom stojącym przy saniach, pozbawionym wszelkiej osłony.

– No i co? – zapytał nieznajomy. – Jak to się panu podoba, mój dzielny *señor corregidor*? Mówię panu, że nawet nie potrzebuję strzelb moich ludzi, żeby zamknąć panu usta. Spójrz na

tego psa! Na jedno moje skinienie rozerwie gardło panu i pańskim czterem żandarmom. Tutaj w górach wiemy, jak obchodzić się z ludźmi pańskiego rodzaju!

– Mój Boże, jesteśmy zgubieni! – powiedział *corregidor*.

– Tak, jesteście! Pańscy ludzie na zewnątrz nie mają jeszcze pojęcia, co tutaj się dzieje. Tu chodzi o pańskie życie. Będzie pan posłuszny czy nie?

– Co mam zrobić? – zapytał potulnie urzędnik.

– Proszę rozkazać swoim ludziom, żeby złożyli broń i oddali nam konie!

– To... niemożliwe! – powiedział *corregidor*, ogromnie strwożony.

– Tak musi być! Moi ludzie słyszą każde słowo, które zostało wypowiedziane. Liczę do trzech. Jeżeli nie stanie pan w oknie, aby wydać rozkaz, zastrzelą pana. Jest nas trzydziestu. Nikt nie zdoła nam uciec. Więc... raz – dwa – trz...

Nie wypowiedział jeszcze słowa „trzy”, gdy *corregidor* doskoczył do okna i krzyknął.

– Odłóż broń! – zawołał na zewnątrz.

Żandarmi usłyszeli te słowa i zdziwieni popatrzyli w stronę, z której zostały wypowiedziane.

– Na litość boską, odłóżcie broń! – powtórzył. – Połóżcie ją w saniach!

– Dlaczego? – zawołał jeden z zewnątrz.

– Bo my tu, w środku, zostaliśmy uwięzieni – odpowiedział. – Cała chata pełna jest rozbójników, którzy nas wszystkich zabijają, jeśli mnie nie posłuchacie.

Ludzie na zewnątrz wydawali się nie wierzyć w to, co właśnie usłyszeli. Ale wtedy drzwi domu otworzyły się od wewnątrz i wyskoczyło przez nie chyba ze dwudziestu rabusiów, wyciągając w ich stronę swoje naładowane strzelby.

– Poddajcie się! Poddajcie się! – ponaglał strwożony *corregidor*.



– Mój Boże, jesteśmy zgubieni! – powiedział corregidor.

– Pod warunkiem swobodnego odejścia? – zapytał jeden przezornie.

– Tak.

Żandarmi zobaczyli, że potrzeba tylko jednego ruchu palca wskazującego rabusiów, by oddać w stosownej chwili dwadzieścia strzałów. Odłożyli broń, oddali również konie i oddalili się. Również tych czterech znajdujących się w izbie zrobiło to samo. Mogli odejść bez przeszkód. Gdy jednak również *corregidor* chciał się oddalić, rozbójnik zatrzymał go.

– Stój, mój lotrze! – zawołał. – Mam z tobą do pomówienia!

– Co znowu jeszcze?

– To wkrótce usłyszysz! – odparł i odwróciwszy się do Sternaua, zapytał go: – Jak się zdaje, nie jest pan zadowolony z tego *señora corregidora*?

– Zupełnie nie – odpowiedział lekarz.

– Tylko dlatego, że chciał teraz pana aresztować? Czy ma pan jeszcze coś innego przeciw niemu?

– Chodzi o znacznie więcej. Przyszedł kiedyś do mnie, żeby zabrać mnie do damy, która mi towarzyszy, ale zamiast tego podstępem zabrał mnie do więzienia w Barcelonie, gdzie zostałem zamknięty niewinnie na długi czas.

– Ach, powinien odpokutować za takie oszustwo! Wyliczcie mu pięćdziesiąt razów na plecy!

Mimo lamentów *corregidor* został pochwycony i wyniesiony. Wkrótce dało się słyszeć silne uderzenia i głośnie krzyki urzędnika, który chyba nie spodziewał się, że zamiast swojego więźnia dostanie pięćdziesiąt uderzeń kijem. Gdy otrzymał ostatnie, pokuśtykał żałośnie precz.

Teraz dopiero do pomieszczenia wszedł znowu duchowny.

– Widzisz, *señor* – powiedział – że miałem rację mówiąc, że tutaj, wysoko w górach, będziemy bezpieczni!



Wkrótce dało się słyszeć silne uderzenia i głośnie krzyki urzędnika, który chyba nie spodziewał się, że zamiast swojego więźnia dostanie pięćdziesiąt uderzeń kijem.

– Jest ojciec dla mnie zagadką, ale dziękuję z całego serca! – odpowiedział Niemiec.

– Może jeszcze uda się panu kiedyś rozwikłać tę zagadkę. Teraz jednak niech pan pozwoli, że bez zbędnej zwłoki wyruszymy w drogę, byśmy jeszcze przed wieczorem mogli przekroczyć granicę.

Sternau chciał okazać wdzięczność dzielnym brygantom, jednakże oni odmówili zdecydowanie wszelkiej wdzięczności i jakichkolwiek darów. Zyskali przecież broń i konie.

– Pomoc zjawiała się w odpowiednim czasie – powiedział Alimpo, wsiadając do sań. – Czyż nie, moja Elviro?

– Tak – odpowiedziała. – Sądzisz, że *corregidor* Manresy przyzna się, że dostał dzisiaj pięćdziesiąt batów?

– Nie, ale napiszę do naszego siostrzeńca. Ten na pewno nie zmarnuje okazji, by podzielić się tą wiedzą z innymi, moja kochana Elviro.

Ponieważ konie zdążyły dobrze wypocząć, pełne świeżych sił raźnie i szybko ruszyły naprzód. Gdy Sternau machał brygantom na pożegnanie, nie sądził, że po latach spotkają się ponownie w tym samym miejscu.



CHCESZ PRZECZYTAĆ
DALSZĄ CZĘŚĆ?

Łeśna Różyczka

Zapraszamy do księgarni!

URATOWANA MIŁOŚĆ



Kolekcja

Leśna Różyczka

CZĘŚĆ I – CÓRKA GRANDA

Tom 1: Walka o miłość

Tom 2: Uratowana miłość

Tom 3: Jaskinia z królewskim skarbem

CZĘŚĆ II – PIERWSZA POGOŃ ZA ZEMSTĄ

Tom 1: Wyprawa mścicieli

Tom 2: Wyleczenie

CZĘŚĆ III – ZWYCIĘSTWO MŚCICIELI

Tom 1: Porucznik gwardii

Tom 2: Maksymilian, cesarz Meksyku 1

Tom 3: Maksymilian, cesarz Meksyku 2

Tom 4: Maksymilian, cesarz Meksyku 3

Tom 5: Tajemne posłannictwo

Tom 6: Koniec

Leśna Różyczka to powieść o niespotykanym, gigantycznym wręcz rozmachu. Autor często przenosi akcję na różne kontynenty, stosuje zabieg czasowych skoków akcji. W powieści roi się od postaci historycznych, m.in.: cesarz Maksymilian, księżę Bismarck, cesarz Wilhelm I. Jednym z głównych bohaterów jest doktor Sternau – pierwowzór późniejszego Old Shatterhanda (alter ego samego pisarza). Jego przygody to zapowiedź późniejszych, najlepszych dzieł autora *Winnetou*. *Leśna Różyczka* pokazała również dużą sprawność Maya w poruszaniu się w tematyce Dzikiego Zachodu i bliskowschodnich przestrzeni Orientu.

Niniejsza kolekcja jest zatem pierwszym polskim wydaniem *Das Waldröschen*, pozbawionym jakichkolwiek zmian i skrótów. Tekst oparty został na pierwszym niemieckim wydaniu. Ilustracje anonimowego twórcy pochodzą z edycji niemieckiej (Wydawnictwo H.G. Münchmeyer, Dresden-Niedersedlitz, 1902 r.).

Wszystkich, którzy pragną przeżyć dziesiątki niesamowitych, wciągających i mrozących krew w żyłach przygód, serdecznie zapraszam do przeczytania *Leśnej Różyczki* Karola Maya, niezapomnianego klasyka powieści przygodowej.

Wydawnictwo JAMAKASZ | Ruda Śląska 2023
www.jamakaszy.pl

ISBN 978-83-66980-01-3 (kolekcja)

ISBN 978-83-66980-80-8 (tom drugi)